

PROZA*Marta Strzelec***Ars vivendi**

Motto:

*„Teraz widzimy przez zwierciadło, w zagadce
widzimy, lecz kiedyś – twarzą w twarz”*

Otwieram oczy
Niechętnie
By szukać poranka
Łowić słoneczną poświatę
W zieleń tęczówek
Niedowierzających
Że obrazy sprzed
Zaledwie mgnienia
Stanowią jedynie fałszywe odbicie
Refleks na szkiełku
Zajączka

Podnoszę się
Ciało leniwie
Opiera się grawitacji
Wstaję

(– nagle –)
(błysk, burza iskier we włosach, lekki wstrząs, jak elektryczne spięcie)
(– przynoszą przytomność –)

Klnę pod nosem, znowu ten kabel... Kiedyś wypierdolę tę lampę za okno. Chwiejnym krokiem zbliżam się do lustra, widzę tylko podbiegłe cieniem oczy. Przyglądam się im uważnie. Właściwie nie mam twarzy. Zostały już tylko te oczy. Kolejna bezsenna noc. Dobrze, że dziś to nie moja zmiana.

Podchodzę do lustra. Kładę otwartą dłoń na szklanej powierzchni. Już jestem w-e-w-n-ą-t-r-z. Nareszcie. Tutaj Ja, ta od-wczoraj-zamyślona, siedzę z nosem przyklejonym. Do okna. Rozluźniam przywiązane do krat prześcieradło, po którym wspina się, dziś już czwarty, książę. Może kiedyś się zmęczą i stwierdzą, że ta wieża jest nie do zdobycia. Uśmiecham się kącikiem ust. Lewym. Tak, jestem w domu. Gdy Ona, to znaczy Ja, widzi Mnie, podbiega energicznie, wrywa mi z rąk torbę i rzuca się na szyję. To jedna z bardzo niewielu chwil, gdy czujemy się naprawdę jednością. Dobra, już, chwileczkę, tylko uzupełnię grafik i odbiję kartę. Nudno tu było, co? No, to zabieraj swoje zabawki i spadaj z mojej piaskownicy! Do roboty!

Ona(-Ja) zaczyna więc ustawiać zniecierpliwione sny w kolejce, po kawę z mlekiem (krzywią się, że bezkofeinowa, normalnie jak dzieci!) i drugie śniadanie. Doprawdy,

nie widzę w tym zajęciu nic pasjonującego, ale cóż, Ona i Ja jesteśmy skazanymi na siebie współlokatorkami, musimy więc respektować swoje, nieważne jak bardzo dziwaczne, zwyczaje i upodobania. Ja tam bym ich w ogóle nie karmiła...

Mnie również nie jest dany luksus próżnowania. Idę do sypialni. Chodzę wolno pomiędzy pryczami i budzę kolejno: nadgryziony lęk, zabliźniony strach, nieogolony wstręt, który ziewając mruży: „nie mogę ci wieleeeedaaać...”. Uwielbiam to zajęcie, nie ma nic lepszego, niż porządna porcja obelg na dzień (na przykład) dobry.

Oczywiście najchętniej wstają niechęć i nienawiść. To one pierwsze witają dzień słowami, których mój aparat artykulacyjny nie jest w stanie powtórzyć. To do nich należy umieszczenie tego dnia, jako kolejnego wpisu w swojej „Księdze Powszechnych Skarg i Zażaleń”. Nikt nie protestuje, zresztą, na jakiej niby podstawie? Moja głowa nie jest hotelem pięciogwiazdkowym.

Jeszcze zanim ustawią się kolejno do wymarszu, nienawiść – główna kronikarka – podstawi nogę uśmiechowi, a on wybije sobie dwa przednie zęby. To nic, że odrosną, ale podejrzewam, że w dniu, kiedy zdarzy się to po raz dziesięciotysięczny, jemu również skończy się zapas mleczaków.

(– Do dnia dzisiejszego przeżyłeś/aś 6404 dni. Twój biorytm emocjonalny wynosi – 97,5%, utrzymuje się tendencja spadkowa. Twój biorytm fizycz... –)
(connection lost)

Mój przyjaciel uśmiech miał się przechrzcić, bo już go drażni imię zupełnie nieadekwatne do jego stanu psychosomatycznego, ale jak to bywa w brutalnej rzeczywistości (ful of kopus w dupus, i tak dalej), są rzeczy tak zwane „c” – constans – stałe, których nie sposób usunąć, czy nawet zmodyfikować. Na bierzmowanie, niestety, również dawno minął termin.

W kącie kuli się radość, wiecznie wszystkiego przestraszona, a najbardziej, własnego cienia. Dobrze wie, że nikt jej nie tknie (nie żeby ktoś chciał, o nie), nikt nie chce uszkodzić kruchej anorektyczki potykającej się o własne buty (*notabene* glany), co być może niebezpieczne w skutkach.

Jeszcze tylko nadziei przysługuje taki immunitet. Widok obdartej, zniszczonej matki x-ciorga dzieci, której renta skończyła się przy dwudziestym, a rachuba gdzieś przy setnym. Nie powiem, budzi żal. Wsp-ół-c-zzucie. Niestety, na więcej mnie nie stać. Ciężko mi przechodzą przez gardło imiona dawno zmarłych przyjaciół...

Za nią, krok w krok, okrucieństwo z nahajką w dłoni, tylko czeka, aż któryś bachor wystarczająco oddali się od matczynej spódnicy. Co dalej, chyba nie trzeba tłumaczyć... Ostatnio nadzieja zgłosiła zaginięcie kilkorga, ale niestety, okrucieństwo ma jedyną w swoim rodzaju licencję na dzieciobójstwo. Zajmuje się tępieniem szkodników, co w jej rozumieniu może oznaczać zarówno lekko ułomnego pędraka, jak i całkiem niezłe rokującego bielinka kapustnika. Wbrew pogłoskom, okrucieństwo zna się z litością, nawet dość dobrze, właściwie są rodzeństwem, ale, jak to zwykle

bywa w nowoczesnych, wzorowych rodzinach, prawo do głosu ma zawsze silniejszy. Co ma litość? Ciasną budę, łańcuch i kaganiec. I krótkie polecenie: „Nie szczekać!”.

Kolejny, jakże dobrze znany mi obrazek: rzeczywistość brutalnie szarpie świadomość za ramię, wręcz ściąga ją z łóżka siłą. To nie kwestia lenistwa, ale zrezygnowania. Tak się właśnie neguje siebie i otoczenie. Kiedyś cwaniara urządziła sobie strajk głodowy. Dopiero po miesiącu, ledwo powłócząc nogami, stwierdziła, że nikt, ale to absolutnie nikt na to nie zwrócił uwagi. Innym razem chciała sobie podciąć tętnicę szyjną, żyły na nadgarstkach (oczywiście naukowo, więc pionowo), powiesić się na pasku czy zaćpać Luminalum. Z pewnością jest jedynym w swoim rodzaju i najlepszym ekspertem od wielorakich sposobów na pozbawianie się życia. Doprawdy, jakąż to trzeba mieć wyobraźnię, inwencję, empatię! Oh, przepraszam, faktycznie, świadomość kiedyś hodowała empatie, ale kupcy odeszli, popyt się zmniejszył... (Sierotka, już wtedy powinna zmienić branżę. Tak się kończy poleganie na nadziei). Empatia jest bardzo uroczym zwierzątkiem, które w nadmiarze bywa niestety nieraz bardzo uciążliwe, szczególnie z powodu ogromnej potrzeby przebywania na dużej, otwartej przestrzeni i konieczności obcowania z innymi osobnikami. W przeciwnym wypadku cierpi i zdycha – wiem z doświadczenia. No co? Czemu wszyscy patrzycie się na mnie z takim niedowierzaniem? Ja też kiedyś przecież byłam człowiekiem. Teraz... Grupka niedobitków pojedynczych cech ludzkich, wybrakowanych, ..., ech, szkoda słów nawet na to.

Ale oto pochód zamknięty. Ona(-Ja) prowadzi tę grupkę, żywo przypominającą wycieczkę krajoznawczą, złożoną z miłośników klimatów tropikalnych, zwiedzającą architektoniczne budowle wykonane z lodu (czytaj: igloo), prawie tak interesujące, jak tysiącletni przewodnik, bardziej przywodzący na myśl skamieliny trylobitów, które opisuje, niżli nawet substytut człowieka, w samym środku malowniczej Syberii. Lot numer 000-ten-co-trzy-razy-rozbił-się-po-drodze zmierza do świata realnego, gdzie te-o-retycznie powinno być gorzej niż tutaj. Niiiee, drogi gościu, turysto samotny rozbitku, nie kierujcie swych kroków w stronę świata fantazji, Atreyu dawno już nie żyje, a zamiast mistycznych sfinksów na straży, obiecujących, że tajemnica coś jednak znaczy (musi znaczyć!), prędzej zastaniesz coś w rodzaju yansowskiego przejścia – płomień parzący tylko w jedną stronę. Powrotną.

Nie znacie Atreyu? To mitologia popkultury, której dzieckiem jestem przecież – nie uczą tego w szkołach? Aha, fakt, przecież ona nie ma żadnej wartości... Ważny jest Zeus zapładniający Europę. To ci dopiero wartość kulturowa. Blah.

A po drugiej stronie Ona(-Ja) zachęca ową paradę błaznów, którzy pomimo codziennej obecności n-a-z-e-w-n-ą-t-r-z, nadal zachowują się, jakby wszystko było dla nich zupełnie nowe, do zajmowania należnych im miejsc w Jej(-Moim) umyśle podczas codziennego rytuału nakładania makijażu. Może faktycznie dla nich jest to nowe, tylko ja nie dostrzegam jakoś zmian... Za rzadko widocznie zamykam oczy, by cokolwiek było jeszcze dla mnie widoczne.

Maska gotowa. Z dumą patrzę na Jej(-Moje) dzieło. To fascynujące, jak wielki kłam jest w stanie zadać użycie kilku cieni, kolorów... Bo tamta twarz jest kłamstwem, Jej(-Moja). Nasza... nie odbija się już w lustrze. Nie żałuję, brak twarzy, to brak oczu

(wkradła się po cichutku mała nielogiczność), a wiem, że nie mogłabym sama w nie spojrzeć, co znacznie utrudniłoby codzienną wymianę Mnie na Nią, i odwrotnie. A we dwoje zawsze jest łatwiej nieść największy ciężar. Uwaga, będzie patetycznie... Idź siostró w świat, graj swoją rolę. Naszą. Tylko nie prowokuj krytyków, bo jeszcze gotowi sprawdzić, dlaczego twoje źrenice nie reagują już na światło, to by mogło nas zdemaskować... Idź, masz moje błogosławieństwo. Idź i pozdrawiaj w moim imieniu, w imieniu wiecznego tułacza błędzącego pomiędzy dwoma wymiarami tej samej gry. Pozdr... Już nie słyszała. Szkoda, już tak dawno z nikim nie rozmawiam...

Raz jeszcze odwracam głowę, odprowadzam Ją(-Mnie) wzrokiem tak daleko, jak mogę... Po raz kolejny staje mi przed oczami obraz owego towarzystwa wzajemnej adoracji, wyglądającego jak złożona z mieszkańców domu spokojnej starości, wymieszanych z podopiecznymi przedszkola dla dzieci specjalnej troski, charytatywna organizacja pt. „zrób to sam”, w dosłownym znaczeniu: „załatw się sam” (pozostaje tylko hamletowska kwestia: „nożem, czy widelcem?”). Najprościej mówiąc: Międzynarodowej Organizacji Hakerstwa Cewników Moczowych. Pozarządowa. Non-profit. Znow bredzę. Nagle, po tylu niewybrednych epitetach zdaję sobie sprawę, że jakkolwiek bym ich nie nazwała, nie zmieni to faktu, iż każde z nich posiada dożywną kartę członkowską mojego umysłu, a co inteligentniejsi mogliby bez problemu złamać odpowiednie kody, by z lamera awansować na opa, a z opa na administratora. Po raz pierwszy w życiu odczuwam potworny lęk o swoją poczytalność. Przecież gdyby ta hałastra zażyczyłaby sobie obalić Jej-Mój-Nasz absolutyzm, prawdopodobnie nawet nie zdałybyśmy sobie z tego sprawy. Może już jestem szalona, tylko jeszcze o tym nie wiem? Nie, trzeba odpędzić te piekące myśli, nie można poddać się paraliżowi. One... One sączą się we wszystkie moje zakamarki... Pieką, wypalają... zakażenie...? A więc już się dokonało? W jaki...?

(– nagle –)

(– wstrząs –)

(zewsząd sypią się odłamki szkła – nie, to tylko kot potracił lustro)

Pod powiekami mam już tylko jeden obraz: moje dłonie, ramiona, tułów, nogi, całe ciało jest umocowane na sznureczkach, które ktoś energicznie poszarpuje we wszystkie strony, nawet moja twarz, niewidzialne żyłki rozciągają moje usta w uśmiech... bezwolna... jestem..... Czym? Kukielka... marionetka w rękach... szaleńca? Chyba jednak się przeliczyłam, nie jestem ani o tyle wyżej, ani o tyle niżej od nich, Ona, oni, te wszystkie obrazy są tylko moje... te potworne, chore... Podziwiam Jej odwagę, ale Ona przynajmniej nie musi przechodzić tego, co ja, walczyć z samą sobą. Z Nią.

(– tymczasem –)

(ta-druga siedzi skulona na posadzce akademickiego bufetu – prowadzi zajęcia z jogi – wokół niej, dwudziestu podopiecznych – Ona...)

Ona. Jak echo błędzi w mojej głowie. Ona-Ja... Lęk... Wokół mnie same marionetki... Skąd to... ? ... Te obrazy. Nie są moje. Co...? Gdzie ja jest-...

Co–za–ulga. Otwieram oczy, a tu wszystko jest na swoim miejscu. Wszyscy ćwiczą w jednym rytmie. Chwila, moment, co on robi, przecież zaraz zerwie sobie ścięgno, nie tak moc-...! Chcę krzyknąć, jednak struny głosowe odmawiają posłuszeństwa, nienarodzony krzyk uwięziony w gardle, jak ogromna pięść. zbyt d-u-ż-y o-p-ó-rrrrrr...

Co się ze mną dzieje? Mogę tylko przyglądać się jego cierpieniu. Mus-zzz-ę mu-upo-móóc...

I nic. Żaden dźwięk się nie wydostaje. A pan przystojniak wydaje z siebie bolesny jęk, upada na posadzkę i kwili jak dziecko. No nie powiem, miękkiego lądowania to on nie miał, hehe (sic!) Ale, ale... Przecież to nie Ja się śmieję, Ja bym nigdy... nie... b-y-ła tak-k ok.-krut-tna...

To Ja?

Zamknąć oczy. Zamknęłam. S-skąd t-ta muzyka...? T-ten głos... Prawie... Brzmi prawie jak... rozkaz?

„Tańcz, głupia, tańcz, jak ci zagrają...”

(– a z powrotem –)

(po drugiej stronie – lustra...?)

Głos już ucichł, co za ulga. Tę rundę chyba wygrałam. Czuję się tak, jakbym stoczyła walkę z kimś przynajmniej Mi równym. No nie, dać się podejść w tak banalny sposób...! Uratowało mnie tylko moje sanktuarium, nie było w pobliżu nikogo, kto mógłby odwrócić moją uwagę, kto mógłby służyć za ofiarną owieczkę. Tamten miał mniej szczęścia, he, he... tak banalnie, na kobietkę... Tylko zastanawiam się, czemu zaatakował akurat mnie, jak w ogóle tu się dostał? Pewnie jakiś junak pomylił mnie ze smokiem. Cóż, wypadki się zdarzają... Na wszelki wypadek lepiej jednak uszczelnić bramy i..., nie, mam lepszy pomysł, obwieszę warownię czerwonymi chorągwiami. Kto przy zdrowych zmysłach będzie się pchał w sam środek zarazy...?

(– tymczasem –)

(na posadzce w bufecie)

Ona, nie, Ja... gdzie jestem, co się... Ach, jasne, przegrałam atak, jak mogłam stracić równowagę. No tak, banał, atak pośredni, ale przecież nie każdy reaguje, ten ktoś miał cholerne szczęście albo mnie zna... Ktoś, komu dałam klucz? Niemożliwe, kto mógłby chcieć się do mnie dostać...? Nieważne, najwyższy czas pozmienić zamki. Słono w ustach, oby tylko pot, kurw-... Pęknięta warga, i chyba, fak(t), pęknięty łuk brwiowy... (Spokojnie, pójdziesz teraz do toalety, umyjesz twarz a potem załapiesz się do jakiegoś lekarza na popołudnie.) Jak mi drżą ręce..., spokojnie, zawsze jest jeszcze ś-ścćana, taak, jeszcze mi brakuje kilku urazów do kolekcji, jeszcze jeden taki zawrót, a moja głowa przywita się z umywalką, a reszta wyląduje na OIOM'ie. (Spokojnie, tylko nie patrzeć w lustro...)

(– a –)

(z – drugiej – strony)

Właśnie wydawało mi się, że widzę Ją-(Siebie), tam, makabra..., policzek zalany krwią, obrzęknięte usta..., To tylko obraz, halucynacja..., lepiej tu ogarnę...

Już myślałam, że wezmę sobie dziś urlop od tych kaleczących dźwięków, duszących zapachów, groteskowych krajobrazów... tego, tego wpół martwego za życia domu. Domu mego ciała. Widać, że nawet tu nie mam bezpiecznego schronienia, przynajmniej dopóki połowa mnie jest nadal tam.

Przechodzę przez sypialnię, składam i rzucaam pościel na metalowe szkielety łóżek. A cóż to? Widzę, że moja kolekcja rzeczy znalezionych się powiększa. Malboro, no, no, widzę, że silna wola zmieniła upodobania... „7th Crown”... To do barku świadomości. Patrzcie państwo, jaka kolekcja, zaczynam mieć poważne wątpliwości co do świadomości naszej świadomości. Relanium, Lorafen, Xanax, hmm..., to chyba należy do tych zakręconych siostrzyczek, nerwicy, depresji i tej, no, schizofrenii, taak...

Chodzę tak i zbieram resztki moich myśli, pozjadane z końca wyrazów litery... Powoli wasza wycieczka po tym makabrycznym świecie dobiega końca. Zresztą, zmęczona już jestem rolą przewodnika i narratora.

A to co...? Kartka na lodówce, zostawiona chyba przez tą moją lepszą wersję: PAMIĘTAJ, DZIŚ 1 LISTOPAD, ODWIEDŹ GROBOWIEC. SPOTKAMY SIĘ WIECZOREM, JAK ZWYKLE PEWNIE MINIEMY SIĘ W TAFLI, WIĘC NIE ZAPOMNIJ!!!

Tak, trzeba oddać cześć, tym, którzy już nas dawno opuścili. To tylko dwa kroki, trzy schodki, jedna zasuwa w mosiężnych wrotach, dalej tylko sień i grobowiec, a w nim... szereg marmurowych płyt pokrytych kurzem dni, a może miesiący. Czy tutaj ktoś w ogóle sprząta? Albo mierzy czas? Nie widziałam ani jednego zegarka. Tym gorzej, bo dłuży się on niemiłosiernie... Ten czas oczywiście, nie zegarek.

Poprawiam zeschnięte wieńce, odrywam kępy mchu obrastającego przytulnie piwniczne, nasycone wilgocią ściany. Odmawiam tradycyjny pacierz, zapalam znicze o krótkich, szerniających knotach (i tak za godzinę zgasi je wilgoć) Czytam: ŚWIĘTEJ PAMIĘCI: WIARA, SCZEŚCIE, ZAUFANIE, MIŁOŚĆ, SIŁA. Opuszczacie nas wedle przerażającego schematu, już nawet jest przygotowane miejsce dla uśmiechu, gdyby stwierdził, że więcej mleczaków już mu nie urośnie, na emeryturę za wcześnie, na rentę – to wstyd całkiem... Wygląda na to, że trafi tutaj do was prosto od dentysty. Próbuję się zaśmiać, nie wychodzi, na twarzy pojawia się grymas buntu. Procedura nie do uniknięcia, niestety.

Biorę w dłonie grudki ziemi. Może nie powinnam. Ale... muszę, to jedyne wyjście... Chwytam za łopatę i kopię dwa kolejne doły. Nie bójcie się, nie na próżno, już dziś w nocy przyłączą się do was starzy towarzysze.

Wracam na górę, do biura, wypisuje zamówienia na płyty z wrytymi imionami. Przesyłka ekspresowa. Co? A, tak, prawda, im się przecież nigdzie nie spieszy, ale to ważne... Jeszcze dwa krzyże, a czy to ważne jak jest przybity!? Ważne, żeby BYŁ! Jak

to kto!? Ty..., ciesz się, że za chwilę będę w żałobie, bo dostałbyś ode mnie piękną wiązanę, ale nie taką z kwaciarni! Rzucam słuchawkę. Ludzie potrafią być wprost niesamowicie ograniczeni.

Po godzinie niemal wszystko jest gotowe. Dostawa faktycznie ekspresowa, w sam raz dla zawodowych ubijaczy. Szkoda, że pochówek na cmentarzu komunalnym kosztuje więcej i trwa dłużej niż ślub, wesele, poprawiny i dwudniowy miesiąc miodowy razem wzięte. I nie można chować zwierząt. A tu? Szybko, spokojnie, kameralnie pogrzebiemy ŚWIĘTEJ PAMIĘCI ŻAL I SUMIENIE. A ziemię będą sypać członkowie rodziny, nie anonimowy grabarz. No i sumienie będzie mogło zabrać ze sobą tę trzymaną w tajemnicy empatię. Całkowita wolność bracie, po za jedną tylko – od tej decyzji nie ma już odwołania, nie będzie żadnego wskrzeszania, ani zlituj się, ani przebacz (na szczęście dawno przeszły na stronę opozycji). W razie ataku nie może być wahania. Wasza epoka milcząco przekroczyła magiczną godzinę „0” i określenie „schyłkowej”. Czas zaczerpnąć nową siłę z nowych wartości, granica między dobrem a złem tak dawno się zatarła, że chyba nawet sam Wszechmogący nie może się w tym wszystkim połapać. Koniec dyskusji, decyzja już zapadła.

Pięknie. Morderstwo doskonałe, tylko w mojej głowie. Zabijam po kolei części siebie. A jeszcze tak dla równowagi trzeba powołać do życia również dwoje. Chwila, niech pomyślę, poczęte dziś, narodzone jutro, zadziwiająco żywotne. Ochrzczę was imionami...

Ty, dziecko, może wyglądasz niepozornie, ale niech to będzie twoją bronią, będziesz walczyło o przetrwanie za pomocą innego arsenału broni niż ten wykuty z żelaza czy stali. Niech ci będzie na imię kłamstwo.

Ty, silny, pełen furii, masz być bodźcem, motywem, a gdy trzeba, argumentem i podporą. Zwać się będziesz gniew.

A ty siostrze? Skąd się wzięłaś? Nie byłaś planowana. Nieważne, sama napiszesz dla siebie scenariusz. Jesteś od nich wszystkich lepsza, pamiętaj, masz przed sobą cel o większej wartości. Ze śmiechem spoglądaj na maluczkich, którzy będą chcieli cię skrzywdzić, szarpiąc ledwie za skrawek twej sukni. Bądź pozdrowiona – pogardo.

Z takim oto orszakiem wyjdę naprzeciw Niej(-Mnie) i jej podopiecznych. Lecz najpierw trzeba na tafli lustra umieścić ostrzeżenie, że od dziś, dla słabych nie będzie tu wstępu. Łamiąc prawo ryzykują swoje cenne istnienia. Niech wilki z wilkami rządzą połaciami lasów, a owce niech w służbę innym ludziom, na pastwisko. Ale nie poprzestaniemy na tym, nie. Wyjdziemy z chroniących nas ciemności i będziemy porwać te mniej uważne, tym samym zachowamy oba gatunki metodą selekcji. Nowe porządki nastały w świecie makabreski, niech wiedzą wszyscy – tu, w środku nie mam miejsca ani na zniewolonych, ani na przegranych. Oto macie wybór.

Otoczona nową rodziną podchodzę do metalicznej tafli, widzę jeszcze tylko przerażone spojrzenia tych, na których wydałam właśnie wyrok. Biorę do ręki nóż, robię proste długie nacięcie wzdłuż nadgarstka. Nic już do mnie nie dociera, nawet szepty sparaliżowanych strachem błaznów z drugiej strony. Nim czynię cokolwiek,

przez taflę przechodzą, jak zawsze wierne, niechęć i nienawiść. Klękam naprzeciw lustra, nie boję się, tu powłoka jest przeźroczysta, to Ona(-Ja) nie może spojrzeć na mnie, bo ujrzy tylko siebie (a spojrzeć na siebie i siebie ujrzyć, to niezwykła odwaga, której nie ma żadna z Nas). Za zasłoną weneckiego lustra czuję się bezpieczna jak nigdy. Wiem, że nareszcie została zarysowana wyraźna granica pomiędzy tym co słabe, a co silne. Jestem zwyciężczynią z założenia. Przestaję zauważać, co dzieje się wokół, ledwie kątem oka dostrzegam podawaną mi misę. Tak, moja krew jest zbyt cenna, aby uronić chociaż kroplę. Ostatecznie dołączają do nas duma i pycha. Kiedy ujmuję swój gruby warkocz i zakrwawionym nożem przecinam kosmyk po kosmyku, nie rozlega się nawet najdrobniejsze szemranie. Widzę tylko Jej(-Moje) przerażone, utkwione w przestrzeń obok lustra, oczy. Nie widzę, że suknię mam zbroczoną krwią. Więc uroniłam... Widzę tylko te zielone, niedowierzające tęczęwki, one szepczą: „Nie rób tego, zabijesz Mnie, zabijesz Nas obie, nie możemy istnieć bez siebie, nie jesteśmy podzielne przez nic innego tylko siebie, błagam...”. Jaka ona słaba, myślimy z pogardą, tymczasem w grobowcu miłość siostrzana dokonuje ostatecznie żywota. Gdy moczę warkocz we krwi, nie widzę już nic, tylko mrok. To, co piszę mam schowane pod zamkniętymi powiekami.

Słyszę swój głos, jest trójbarwny, w tle echo trzykrotne, jakby chór.
Oto moje ostrzeżenie:

„NIECH NIKT NIE PRÓBUJE OGARNAĆ MOJEGO CHAOSU, ON SAM W SOBIE JEST UPORZĄDKOWANYM. BACZCIE NA SIEBIE NAWZAJEM, DOPÓKI NIE PRZEKROCZYCIE TEJ BRAMY, BEZPIECZNI JESTEŚCIE... LECZ NIEDŁUGO, TO MY PÓJDZIEMY PO WAS I WSZYSTKICH, CO SŁABOŚCIĄ KALAJĄ TĘ SZLACHETNĄ KREW, W GROBOWCU UŁOŻYMY, A KARĄ BĘDZIE ZAPOMNIENIE.”

Nic już nie czuję, ręka sama, bezwiednie pisze zdania, słowa, litery we wstecznym kierunku. Czuję, że rozpadam się na pojedyncze cząsteczki, nie jestem już silna, mogę tylko się modlić, a oto jedyna modlitwa, jaką znałam i znam, drugą ręką niezdarnie czynię znak krzyża i mówię, chociaż wiem, że już nikt mnie nie słyszy:

W IMIĘ OJCA – KTÓREGO NIE BYŁO
W IMIĘ SYNA – KTÓREGO NIE BĘDZIE

ANIELE CIEMNY, STRÓŻU SNU WIECZNEGO
STÓJ ZAWSZE PRZY RAMIENIU NIEBACZNEGO
W DZIEŃ BEZ ŚWIATŁA, NOC ZA NOCĄ
PRZYTOMNOŚCI SPIESZ Z POMOCĄ
SKRAJNY BRAK ŁAKNIENIA WSPIERAJ OCHOCZO
W KOŃCU I TAK MOJE NADGARSTKI KRWIĄ SIĘ ZBROCZĄ
STRZEŻ JESZCZE MEGO CIAŁA, PÓKI Z SIŁ NIE OPADNIE
A DUSZĘ POZOSTAW TAM, GDZIE JEJ MIEJSCE – NA DNIE

(Ego te absolvo. Ego vos absolvo a peccatis vestris.)

16.12.1999